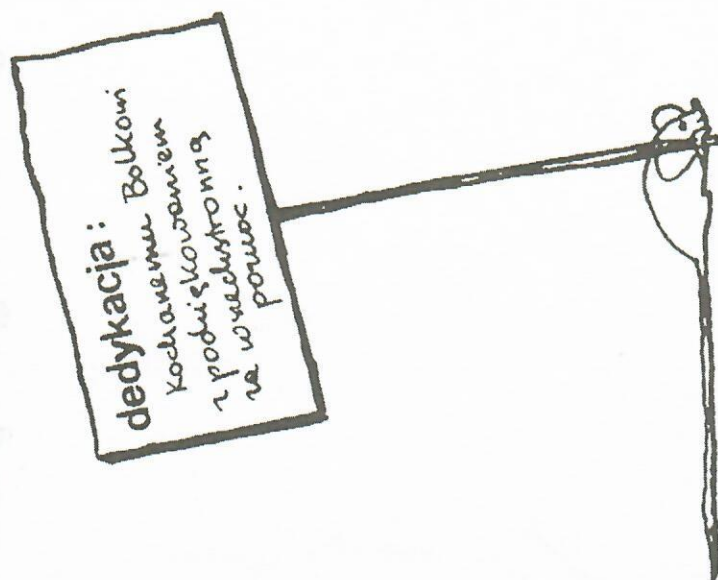


K1525504

MALGORZATA MUSIEROWICZ

# Szóstka Klepka



87021

1

Dziesiątego grudnia 1975 roku, jak zwykle, w różnych punktach globu zegary wskazywały różny czas.

W Poznaniu była piąta rano.

Ulicą Słowackiego, dokładnie tak samo jak wszystkimi ulicami wszystkich polskich miast, pierwsi drżący przechodnie przemykali pod ścianami domów, to oblewając się nieziemską poświatą, wydzielaną przez lampy jarzeniowe, to znów ginąc w mroku poranka. Gdyby któremuś z tych niewyspanych ludzi przyszła fantazja spojrzeć w górę, ujrzałby zapewne widok godny uwagi. Ale o piątej rano, w grudniu, fantazja jest ostatnią rzeczą, jaką może się poszczycić przechodzień. O godzinie piątej rano, w grudniu, przechodzień szczeka zębami, patrzy pod nogi i sunie do pracy. Nie ma zbyt wiele czasu, żeby się rozglądać. Gdyby miał zbyt wiele czasu, toby raczej wstał o kwadras później.

W tych okolicznościach nikt nie dostrzegł, że na balkonie starego domu z wieżyczką płonie ognisko. Ognisko było imponujące. Płomienie huczały tryskając snopami iskier, żywy, migotliwy blask wydobywał z mroku nieruchomą figurkę w kaloszach i swetrze zarzuconym na pizamę. Figurką ową był Bobcio, inteligentny szesćolatek, zamieszkujący wraz z rodziną Żaków pierwsze piętro żółtego domu z wieżyczką.

Bobcio bawił się właśnie w Nerona.

Ciekawą tę postać historyczną wprowadzono w podświadomość Bobcia zaledwie wczoraj. Sprawcą tego był dziadek, który wiódł przy kolacji męczący spór z wujem Żaczkiem. Bobcio siedział właśnie przed telewizorem i oglądał na dobranoc przygody Koziółka Matołka.

Dziadek, jak zwykle krewki, dał się unieść fali elokwencji i szeroko komentował nikczemne poczynania cesarza – matkobójcy, na temat którego właśnie niedawno przeprowadził wnikliwe studia. Bobcio siedział cicho i wlepił w ekran swoje błękitne oczy, sprawiając wrażenie, że przygody durnego koziółka pochłonęły go całkowicie. Dziadek nie mógł przypuszczać, że jego opowieść zakiełkuje w duszy wnuka. Ale zakiełkowała. Szczęśliwie żadna ze zbrodni starożytnego okrutnika nie



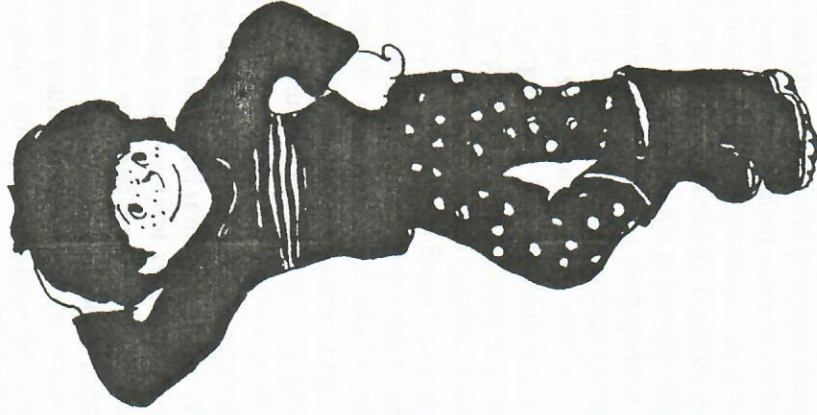
przemówiła do wyobraźni dziecka tak silnie, jak widowiskowy casus podpalenia Rzymu.

W nocy Bobcio spał niespokojnie. Przed piątą wyrwał go ze snu łomot pojemników na butelki i głośnie przekleństwa mleczarza. Chłopiec wyszedł ze swego łóżeczka, wywłókł spod fotela kalosze, po ciemku odnalazł sweter i udał się na balkon, wymijając z ręcznie kanapę ze śpiącą mamą. Pamiętał, że na balkonie wujek Żaczek zwykły był palić niepotrzebne zwoje kalek zawierających tajne projekty dla Zakładów HCP Cegielski. Wuj używał do tego celu specjalnego kubelka po marmoladzie wieloowocowej. Bobcio wszakże postanowił oddać cesarzowi co cesarskie i rozniecić ognisko wprost na kamiennej posadzce balkonu.

Kalka paliła się płomieniem wielkim, lecz krótkotrwałym. Ogniovi groziło wygaśnięcie. Bobcio rzucił więc na stos spory plik tygodników kulturalno-społecznych, kilka nudnych, jego zdaniem, broszur, dużą ilość własnych rysunków przedstawiających głównie czolgi, a wreszcie, wiedziony raczej pomysłowością niż wiedzą, chlusnął w ogień resztę denaturatu, którym wczoraj kuzynka Cesia myła szyby w kredensie.

Palilo się fajnie. Od denaturatu ogień był jakby niebieski. A kiedy zajęła się firanka, płomienie zyskały piękny odcień żółci. Bobcio byłby dłużej upajał się tą feerią barw, był jednak mądrym dzieckiem i wiedział, że od firanek na ogół zaczyna się pożar. Tyle przynajmniej spamiętał z pewnego poruczącego filmu w telewizji.

Udał się więc spokojnie do łazienki, by nalać wody do dzbanka. Trochę to trwało. Kiedy wrócił,



nie było już firanki, ale ogień dogasał. Bobcio połał wodą dywan, na którym tliło się kilka iskieł, chlusnął dla świętego spokoju na okopcone ściany i zalał ostatecznie Neronowe ognisko.

Potem ziewnął, zrzucił kalosze i wskoczył do łóżka pod ciepłą jeszcze kołderkę. Strasznie zachciało mu się spać.

## 2

Cała rodzina Żaków, kołysana łagodnie w objęciach Morfeusza, płynęła z wolna ku nieuchronnemu przebudzeniu.

Obok Bobcia, który natychmiast zapadł w kamienny sen, poświstywała przez nos jego mama. Spała spokojnie, ponieważ w jej podświadomości zakodowana była informacja, że w retuszerii Zakładów Graficznych imienia Kasprzaka pierwsza zmiana zaczyna pracę o ósmej.

W sąsiednim pokoju wujek Bobcia, inżynier Żak, spał mocno obejmując ramieniem swoją żonę. Wujek Żaczek miał być wróćce wyrwany ze snu przez terkot budzika. Chodził do pracy na siódma. Pani Żakowa natomiast, z zawodu i powołania artystka rzeźbiarka, prowadziła nieusystematyzowany tryb życia i budziła się w zależności od tego, o której godzinie w nocy skończyła zmagania twórcze.

Mały pokój w głębi korytarza należał do dziadka. Mimo zamkniętych drzwi płynęło stamtąd gromkie chrapanie, obwieszające światło, że starszy pan śpi snem sprawiedliwego.

W drugim małym pokoiku, przerobionym z dawnej spiżarni, spały siostry Żak – Julia i Celestyna. Julia, piękna studentka sztuk pięknych, obdarzona przez rozrzuconą Naturę nie tylko licznymi talentami, lecz i urodą hiszpańskiej gwiazdy filmowej, spała cicho, z lekkim uśmiechem na pięknych ustach, nawet we śnie zadowolona z siebie. Natomiast Celestyna, zwana w rodzinie Cieleciną, leżała skurczona i śniła, że nikt jej nie kocha.

## 3

Było wpół do siódmej, gdy Celestyna otworzyła oczy.

Przez chwilę leżała bez ruchu grzejąc się w ciepłe pościeli. Całe jej szesnastoletnie jestestwo wzdragało się przed porzuceniem tego ciepła.



Ale nie trwało to długo; Celestyna Żak wyrabiała w sobie bowiem silną wolę, wychodząc z założenia, że jeśli już nie jest ładna, to przynajmniej powinna być godna szacunku. Choćby tylko swojego.

Bohatersko odrzuciła koldrę i usiadła na łóżku. Która to może być godzina? W pokoju było ciemno. Z sąsiedniego tapczanu, razem z delikatną wonią perfum „Antilope”, płynął cichy, równy oddech. Artystka Julia wstawała o zgola innej porze.

Cesia namacała w ciemnościach miękką tkaninę szlafroka i nie-mrawo wpychając dłoń w rękaw zastanawiała się, czy ojciec już poszedł do pracy i czy nie zapomniał zostawić dla niej gorącej wody na herbatę.

Pewnie już poszedł, bo w mieszkaniu panowała cisza rozdzielająca jedynie dramatycznym chrapaniem dziadka. Cesia zawiązała szlafrok i powlokła się długim, zimnym korytarzem. Weszła do łazienki, która była ponurym pomieszczeniem wyposażonym w armaturę z początków stulecia. Żółte światło lampki umieszczonej nad umywalką oblało twarz Celestyny. Obiektywnie była to twarz miła, optymistyczna i różowa, o jasnych oczach, jasnych brwiach, jasnych rzęsach i jasnych kudłatych włosach wokół tego wszystkiego. Jasne oczy miały spojrzenie uczciwe i myśjące, a na twarzy malowały się wrodzona pogoda i poczucie humoru. Wydawałoby się, że ten zespół zalet wystarczy, by wpisać osobę szesnastoletnią w stan zadowolenia z własnej powierzchowności.

Ale Celestyna była odmiennego zdania. Uważała, że jest beznadziejnie brzydka, a co gorsza, brzydka brzydota banalna, odstraszająca, prozaiczną i rzeczową. Z taką twarzą – myślała – nie sposób wyglądać uwodzicielsko ani tajemniczo. Z taką twarzą wygląda się zawsze trzeźwo, zdrowo i obrzydliwie zwyczajnie.

Nic dziwnego, że nikt się w niej dotąd nie zakochał. Ona sama uważa swoją twarz za nieinteligentny kawałek różowego mięsa. Czy widok takiego obiektu może sprawić, że serce jakiegoś wspaniałego chłopaka zabije nagle płomiennym uczuciem?

Wykluczone.

– Że już nie wspomnę o łydkach – powiedziała głośno Celestyna, wpatrując się w swoją twarz w zwierciadle. – Za grube, za grube, o wiele za grube. – Gdzieś w głębi jej piersi narastało przeczcucie chandry. Do klasówki z matematyki zostało marne półtorej godziny.

Za oknem ciemniał ponury ranek. Było zimno i rozpaczliwie. Oczami duszy ujrzała Cesia nieskończoną przestrzeń czasu, kładącą się

między chwilą obecną a zgonem. I czas ten był wypełniony głównie samotnością, ponieważ z takim wyglądem można liczyć tylko na samotność. Inne dziewczyny będą sobie przeżywały wielkie miłości, będą sobie następnie żyły radośnie i szczęśliwie hodując dzieci i wnuki. Ona będzie tragicznie sama.

Jakoś nic nie płynęło z otwartego kranu.

Celestyna z trudem oderwała wzrok od swojego odpychającego odbicia w lustrze.

– Dlaczego nic nie płynie z kranu? – zadała sobie pytanie. I natychmiast dostrzegła na umywalni kartkę zagryzionoloną piśmem ojca:

*Cesia, nie ma wody, szlag by trafił. Pewnie znów zalaliśmy Nowakowskich. Idź, przeproś i niech włączą. Aha i zadzwoń do PZU po ajenta, niech przyjdzie i wyceni straty. Boże, co za życie. Żaczek.*

– Przecież nie zdąży! – powiedziała zirytowana Celestyna.

Postanowiła się umyć reszką wody z imbryka i nie pić za to herbaty. Kartkę ojca zostawiła na umywalni, niech kto inny dzwoni do PZU i nakłania sąsiadów, by utworzyli główny kran. Ona musi się skupić i nakłaniać przed klasówką. Poza tym na półce pod lustrem leżało jakieś nowe interesujące pudełeczko ze złotym napisem „Elizabeth Arden”. Należało zbadać jego zawartość.

Tusz do rzęs. I to jaki, ho, ho.

Po co Julia chce smarować swoje cudowne czarne rzęsy? Niepojęty jak zwykle brak umiaru. „Co innego ja” – pomyślała Cesia i spojrziała z odrazą w lustro.

A gdyby tak pociągnąć tuszem te białe kłaczki wokół oczu?

Pociągnęła.

O, jakby głębsze spojrzenie. Czy trochę bardziej zielone niż zwykle. No, no. Cesia wydeła wargi i opuszczała nieco powieki patrząc sobie w oczy kuszącym spojrzeniem.

Och.

Kuszące jednak nie. Ale gdyby tak figlarne?

Spojrzała figlarnie, po czym z jękiem rozpaczy wróciła do normalnego wyrazu twarzy.

Spojrzenie zachęcające. Proszę uprzejmie.

O Boże. Jakby zachęcała do zupy pomidorowej.



Nie, to na nic. Spojrzała rzeczowo i z rezygnacją. O, tak. Tak jest. Tylko to. Teraz należy coś zjeść, ubrać się i pójść do szkoły.

4

Na dworze było jeszcze gorzej, niż przewidywała. Z czarnego nieba lał się prosto za kołnierz lodowaty plyn, wiatr szarpał połami Ciesinego płaszcza. Ulica Słowackiego była ponura i niemila. Cesia przeszła przez jezdnię i zatrzymała się obok oświetlonego kiosku „Ruchu”, przed którym stała kolejka po „Głos Wielkopolski”. Na półce obok okienka, pomiędzy plastikowymi żołnierzykami a kartonem pełnym długopisów „Zenith”, stało lusterko, w którym Cesia ujrzała swoje odbicie: fragment źle ubranej, nieekawej dziewczyny w naciśniętej na oczy włóczkowej czapce. Spod czapki wystawał duży, czerwony nos, po nosie spływały krople deszczu. Był to rozdzierający widok.

5

Ciemność na ulicach, deszcz, zimno. Przechodnie wtulają nosy w kołnierze i kryją się pod parasolami. Samotność. Żadnej bratniej duszy.

Cesię ogarnęła z wolna chandra-gigant, rozpaczliwe poczucie osamotnienia i bezsensu wszystkiego. Cóż bowiem czeka ją w życiu?

Jakie ma szanse na umeblowanie świata swoich uczuć, jeśli po trzech miesiącach nauki w nowej szkole nie potrafiła znaleźć sobie przyjaciółki, nie mówiąc już o chłopaku do chodzenia. Od początku roku szkolnego nikt na Cesię po prostu nie zwrócił uwagi, a ona była zbyt nieśmiała i zbyt dumna, żeby zabiegać o względy kolegów. Zresztą były to na ogół rzeskie, dobrze ubrane, pewne siebie dziewczyny, które zawsze wprawiły biedną Cielęcinę w stan podziwu i lęku zarazem. A znów Danka Filipiak, która od początku zwróciła jej uwagę swoją poetyczną, tajemniczą małomównością, jak i wysoce uduchowionym wyrazem twarzy, po prostu wciąż jeszcze nie dostrzegала, że Cesia istnieje.

10

W domu to samo. Celestyna miała dziwne szczęście do zajmowania ostatniego miejsca, gdziekolwiek by się znalazła. Nie sprawiała rodzicom tyłu kłopotów co szalona, leniwa i rozflirtowana Julia, przeciwnie, cichutko i rzetelnie wypełniała wszystkie swoje obowiązki. A jednak, mimo iż kochali Cesię tak samo jak starszą córkę, zauważali ją znacznie rzadziej. Sama zaś Julia, która w tym roku po wielu wysiłkach i uruchomieniu wszystkich możliwych znajomości dostała się wreszcie do PWSSP, od dnia inauguracji roku akademickiego przepadła dla Celestyny nieodwołalnie. W domu Żaków pojawiły się ekstrawagancko ubrane dziewczyny, przy których Cesia czuła się jak zakurzony sprzęt domowy, i kudłaci plastycy, którzy patrzyli tylko na Julię, ponieważ rzecz jasna Julia była najpiękniejsza.

Oczywiście jest, że Celestynę musiała trawić zawiść.

Zazdrościła Julii urody, talentów, przedziwnego wdzięku, swobody bycia i elokwencji, niezrozumiałej umiejętności ubierania się w byle co i wyglądania przy tym jak modelka z „Elle” i, oczywiście, powodzenia u chłopaków – tego najbardziej.

Przy tym wszystkim należy zaznaczyć, że nie była Cesia osobą o charakterze odrażającym. Nie nienawidziła przedmiotu swej zawiści, przeciwnie, kochała Julię z całej mocy, wielbiła ją i podziwiała. Złe zdanie miała tylko o sobie. W głębi jej duszy głęboko zakorzeniło się przeświadczenie, że jest o wiele gorsza od innych dziewcząt. Przyznawała sama przed sobą, że posiada, owszem, najróżniejsze skarby ducha, lecz, niestety, zalety jej ciała są przygnębiająco nieliczne. Brak pewności siebie utrudniał Cesi życie i niemożliwym czynił pełne porozumienie z otoczeniem.

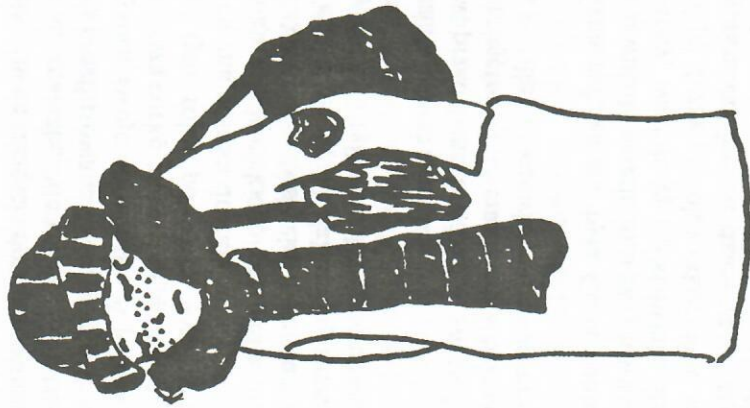
Gdyby ktoś jej powiedział, że od samego domu idzie za nią jak wierny cień wysoki chłopak w skafandrze z kapturem, byłaby przekonana, że to jakiś nieporozumienie lub że ktoś chce jej zrobić głupi kawał.

A jednak szedł!

Chodził tak co dzień od trzech miesięcy. Co dzień rano czekał za kioskiem „Ruchu” naprzeciwko żółtego domu z wieżyczką. Krył się tam, dopóki nie zobaczył wychodzącej z domu Celestyny, a potem szedł za nią krok w krok podziwiając jej smukłą sylwetkę i ruchy pełne gracji, a także wspaniałe jasne włosy fruujące wokół ślicznej głowy. Nie przeszło mu przez myśl, że Celestyna w tej właśnie chwili wymyśla sobie od odrażających egocentryczek i dochodzi do wniosku, że zamiast

11





zajmować się bezustannie swoimi kompleksami, powinna poświęcić raczej całą uwagę temu nieszczerłiwemu światu. Zostać zakonnicą lub zatrudnić się w domu sierot na stanowisku pomywaczki lub też udać się do najbliższego leprozorium i tam służyć pomocą wszystkim trędowatym. Albo pójść na studia medyczne, oczywiście w przyszłości. W każdym razie na pewno dążyć do udoskonalenia swej duszy, a więc przede wszystkim położyć kres zażwiści, ponieważż zawiść jest uczuciem poniżającym.

Kilka minut po ósmej Cesia wśliznęła się boczkiem do klasy Ib. Prawie wszyscy już byli. Panowała atmosfera dosyć naprężona, jak to przed klasówką. Wszyscy rozmawiali przyciszonymi głosami. Wchodząc Celestyna jak co dzień pogratulowała sobie w duchu, że we wrześniu wybrała ławkę drugą w rzędzie przy drzwiach. Teraz wystarczył tylko krok i już siedziała w swojej bezpiecznej fortce. Gdyby miała przejść przez całą klasę, pod ostrzałem spojrzeń wszystkich obecnych, wołałaby najprawdopodobniej zawrócić i uciec do domu.



Nie mogłaby znieść myśli, że wszyscy patrzą krytycznie na jej zbyt grube łydki.

Równolegle zaś drążyła ją paradoksalna świadomość, że nawet gdyby przeszła przez całą klasę trzykrotnie tam i z powrotem, i tak nikt by na nią nie spojrzał. W każdym razie siedziała teraz w swojej ławce obok najprzystojniejszego chłopca w klasie i nie tylko on, ale nikt w ogóle nie zwrócił uwagi na fakt, że pomalowała dzisiaj rżęsy.

Najprzystojniejszy chłopiec w klasie miał na imię Pawełek i podobny był do wszystkich aktorów filmowych naraz, a już najbardziej do nieokreślonego ideału męskiej urody, jaki nosi w swym sercu każda kobieta. Miał półdlugie złote włosy, oślniewający uśmiech i promienne szafirowe oczy. Kiedy Cesia patrzyła na niego ze zem, widziała majaczące w tle ponure oblicze niejakiego Jerzego Hajduka i jego okrągłą, krótko ostrzyżoną głowę, który to widok stanowił oczywisty kontrast z rzymskim profilem Pawelka.

Z tego, że siedziała w jednej ławce z pięknym Pawelkiem, nie mogło wynikać nic poza korzyściami ściśle naukowymi. Pawełek był świetnym matematykiem i chętnie dawał ściągę poproszony o tę przysługę. Nie proszony nie tylko nie dawał ściąg, ale w ogóle nie dostrzegał Celestyny, czemu ona nawet się nie dziwiła. Bądź co bądź w klasie była taka ilość ślicznych dziewcząt, że doprawdy miał Pawełek na co popatrzeć.

W tej chwili właśnie patrzył na czarnowłosą Kasię, właścicielkę głowy w loczkach, zadartego noska i wspaniałych rżęś. Cesia również popatrzała na Kasię z bezinteresownym uznaniem. Pawełek przeniósł wzrok na rudą Beatę, a za nim spojrziała i Cesia, odnotowując przy okazji, że Beata ma pomalowane brwi. No, no, niczego sobie, nos też popudrowała, patrzcie, patrzcie.

A Hajduk gapił się na Cesię niechętnym wzrokiem.

Czego ten się gapi? Ponurak jeden.

Gapi się i gapi.

Cesia obdarzyła Hajduka spojrzeniem ostrym i wyniosłym. Niech się nie gapi. Wstrętny facet.

Patrzy taki i krytykuje w myślach każdą wadę Cesinej urody. Wszyscy oni są tacy. Lubią tylko ładne dziewczyny i zawsze patrzą przede wszystkim na nogi. „A sam wcale nie jesteś taki śliczniutki, kolego. Pryszczki masz i tyle.”



pochłonięty studiowaniem uniwersyteckich podręczników fizyki oraz „Rozmyślań” Marka Aureliusza. Zajmowało to jego uwagę do tego stopnia, że nie starczało już czasu na kwestie związane z ubraniem, wyglądał zatem niezachęcająco, jeśli przyjął punkt widzenia dziewcząt w jego wieku. Dziewczętom zresztą również nie udzielał uwagi. Z wyjątkiem Celestyny.

Ale Celestyna oczywiście była wyjątkowa.

Lubił na nią patrzeć. To wszystko.

Lubił w ogóle wszystko, co miało jakikolwiek z nią związek. Na przykład jej dom, jej ulicę, jej botki, jej ojca i chleb wielkopolski, który kupowała codziennie, co pozwalało się domyślać, że lubi ten gatunek specjalnie. Wszystko, co dotyczyło Celestyny, było tajemnicze i wyjątkowe, opróśnienione tęsknym urokiem, pełne zagadek i baśniowego czaru.

Był strasznie ciekaw, jak tam jest wewnątrz, w tym dziwnym domu. Usiłował sobie wyobrazić jego mieszkańców, tych miłych opanowanych rodziców, jakich się domyślał, i tę elegancką, subtelną siostrę Cesi, którą kiedyś widział z daleka. I ją samą – tę zawsze wyniosłą, śliczną, zagadkową Celestynę o zielonych oczach, która spojrziała na niego zaledwie trzy razy od rozpoczęcia roku szkolnego. Co ona teraz robi?

Wyobraźnia podsunęła mu migawkowy obraz wykwinicie nakrytego stołu, przy którym gwarząc cichymi głosami siedzi rodzina Żaków, zaledwie skubiąc palcami jakieś delikatne bułeczki.

Spojrzał na zegarek. Trzeba się spieszyć. Stanać w ukryciu przed domem Cesi i czekać. Na pewno będzie dziś wesoła. Na pewno lubi śnieg.

## 2

Pierwszy obudził się Żaczek. Wylaźł niechętnie z łóżka i po ciemku, żeby nie budzić żony, narzucił na siebie jakieś okrycie. Potem poczłapał do kuchni, żeby nastawić wodę na kawę.

W kuchni zastał obrzydliwy bałagan. W zlewku piętrzyła się góra naczyń, na środku zasypanego okruciami stołu biała kałuża mleka.

– A więc zmywać miała Juleczka – stwierdził ojciec na głos. – Ciekawa rzecz, jak to od razu widać.

Wyjął z szafki duży garnek i napełnił go zimną wodą. Potem w całkowitym spokoju udał się do pokoiku córek.

Dziewczyny jeszcze spały. Pokój zasnuty był mrokiem, wobec czego Żaczek uznał za stosowne zapalić lampę pod sufitem.

Potok blasku lunął na pokój. Zaszokowana Cesia zerwała się natychmiast. Julia spała nadal snem kamiennym.

– Cielęcino – łagodnie przemówił ojciec. – Czy wiesz, o której wróciła wczoraj twoja siostra?

– N-n-n-wym – wymamrotała nieprzytomnie Cesia, zastanawiając się mętnie, czy ojciec w błękitnym atlasowym szlafrocisku damskim, przyciskający do brzucha czerwony garnek, należy do świata snu czy też jawy.

– Pytam, o której wróciła Julia – powtórzył ojciec tonem nie wróżącym nic dobrego.

W Cesi się nagle obłuzowało i padła bezwładnie na poduszkę.

– Nie mam pojęcia – pisnęła słabo. – Czy to wszystko?

– Jeśli chodzi o ciebie – tak – odparł ojciec z godnością. – Możesz sobie spać.

Zaczerpnął dłonią lodowatej wody z garnka i wylał wolniutko na szyję starszej córki.

Julia zerwała się z przeraźliwym wrzaskiem. Celestyna, która po zezwoleniu ojca walała się była w pościel i nawet zdążyła się już zdrzemnąć, teraz skoczyła na równe nogi dygocąc jak w febrze.

Żaczek wyglądał jak Dżingis Chan – nawet mimo szlafrociska.

– Wstawaj, brudasio – rzekł z mocą. – Do garów!

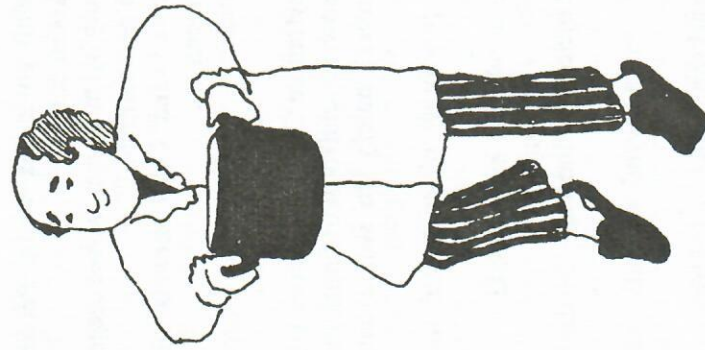
– Na litość boską – powiedziała Julia płaczliwie – całą noc chałturzyłam. Przed chwilą zasnęłam. Kto mnie budzi i po co? Czy to sala tortur?

– Na szczęście dziś się nie spieszę – powiedział Żaczek. – Na szczęście mam dziś konferencję. Na szczęście mogę cię zmusić do godziwej pracy. Wstaję rano, wchodzę do kuchni i cóż widzą moje spracowane oczy? – zamarł z pytającym wyrazem twarzy.

– Cóż widzą? – spytała Julia bezsilnie.

– One widzą płody twojego lenistwa. To ty miałaś wczoraj umyć naczynia. Czyż matka, pochłonięta sztuką, czyż wiekowy starzec, czyż uczące się dziewczę mają wykonywać twą pracę tylko dlatego, że jesteś niechlujem?





- Czemu nie - odparła Julia grubiańsko. - Niech wykonują.
- Nie wstaniesz i nie umyjesz?
- Ależ wybij to sobie z głowy - powiedziała Julia i zaryła się w pościel.
- A to ja ciebie obleję - zdecydowanie oświadczył Zaczek nabierając wody w dłoń. - No, jak będzie? - i chlapanął na plecy Julii.

Kolejny wrzask rozdarł powietrze.

- Nie lubię, jak masz konferencje
- powiedziała z trudem dochodząc do siebie. - Boże święty, ja żyję w domu wariatów.

I wstała.

- No widzisz, złotko - pochwalił ją Zaczek. - Co w tobie lubię, to twój niezawodny rozsądek. Myj naczynka, a potem rób nam wszystkim śniadanko. Jak ci urzędę co dzień taką pobudkę, to może wcześniej będziesz chodziła spać.

Zadowolony z siebie udał się do łazienki. I tu dopiero spostrzegł rozmiary swego błędu. Za dwadzieścia minut powinien się znajdować na przystanku autobusu pospiesznego „B” - umyty, ogolony, ubrany. Tymczasem własnoręcznie przez niego obudzona córka myła naczynia, co wobec prądawnej konstrukcji systemu gazowego uniemożliwiało korzystanie z ciepłej wody po drugiej stronie ściany, to znaczy w łazience.

Zaczek uświadomił sobie swą klęskę dopiero w momencie, gdy na jego twarzy pienil się gęsto rozmazany krem do golenia. Z kranu kapła niespiesznie zimna woda, a mycie się zimną wodą w grudniowy poranek, w lodowato zimnej łazience, było czymś, co przekraczało Zaczkowe możliwości. Łamiąc palce zastanawiał się, co wobec tego mógłby zrobić? Nakazać Julii przerwę w pracy? - odpada. Natychmiast wróciłaby do łóżka, a to by zniweczyło pozytywne efekty jego nowej metody wychowawczej. Więc może zagrać trochę wody w garnku? Wykluczone. Musiałby stać w kuchni i czekać, a wtedy Julia pękłaby z mściwego śmiechu. Zaczek postanowił więc udawać, że nie ogolił się

przez zwykłe roztertowanie. Zdecydował zetrzeć z twarzy krem do golenia, ubrać się, zjeść śniadanie i dopiero przed samym wyjściem, kiedy Julia skończy użytkowanie ciepłej wody, zlikwidować dwudniowy zarost i umyć się pocięźnie.

Zaledwie wszakże zaczął wycierać policzki, tknęło go przypomnienie, że przed chwilą wycisnął ostatki z tuby swego kremu „Polena”. Jeśli zetrze to, co ma na twarzy, nie będzie się miał potem czym ogolić. Zgrzytając zębami Zaczek ubrał się się pospiesznie, patrząc co chwila na zegarek. Ratunek widział tylko w Celestynie.

- Cesia! - szepnął przenikliwie, targając córkę za ramię. - Ratunku!

Cesia podskoczyła jak na sprężynie i obudziła się z bijącym sercem.

- Która godzina?

- Późna! - szepnął ojciec. - Pomóż, ratuj, idź do kiosku. Nie mam ani odrobiny kremu do golenia.

- Dobrze - jęknęła Cesia i zwlekła się z pościeli. Mimoходом, przez zapachnięte powieki, spojrzała na ojca. - Ależ ty masz krem. Na twarzy.

- Tak - cierpliwie przyznał Zaczek. - Ale to nie do golenia.

- A do czego?

- Do starcia.

Cesia znieruchomiała na dłuższą chwilę.

- Dlaczego? - spytała, wlepiając w ojca nieobecne spojrzenie.

Zaczek zastękał. Tłumaczenie wszystkiego od początku było w tej sytuacji nie do pomyslenia.

- Idź do kiosku, ale już!

Podczas gdy półprzymnna Celestyna przykładała do siebie przypadkowe fragmenty garderoby, Zaczek pobiegł z powrotem do łazienki. Tu skamieniał z ręką na kłamece.

W czasie jego krótkiej nieobecności do łazienki wdarł się dziadek. Drzwi były zamknięte na zasuwkę. Wewnątrz głośno rozbrzmiewała tęskna dumka:

- „...Hej, hej, Ojcie Atamanie!” - śpiewał dziadek ochrypłym głosem. Sądząc z wyraźnie dosłyszalnego szumu wody, dziadek znajdował się pod prysznicem.

Z piersi Zaczka wydarł się bolesny jęk. A więc przegapił sprawę. Fakt, że dziadek zażywał tuszu, oznaczał, że Julia skończyła zmywanie. Ciepła woda była znów osiągalna. Lecz nie dla Zaczka, niestety.



Zajrzał do kuchni.

Julii nie było. Umyte powierzchnie trzy talerze stały na suszarce. Reszta naczyń w stanie nie zmienionym spoczywała w zlewie. Kałuża na stole nie zmniejszyła się ani o milimetr.

Śpiew w łazience przybrał na sile.

– „...I wiatr usnął na kurhanie i zasnęła woda w Dnieprze” – nawoływał dziadek melancholijnie.

Żaczek wpadł w szal. Kłapiąc pantoflami pobiegł do pokoju córek. Ujrzał tam Julię słodko śpiącą wśród miękkich poduszek. Błada, ślaniająca się na nogach Cesia po omacku szukała pantofla.

– Aaaa!!! – ryknął ojciec, doprowadzony do ostateczności.

Cesia podskoczyła i otworzyła oczy.

– Już lecę, już lecę – przeraziła się, i tak jak stała, wypadła z pokoju.

Oto dlaczego romantycznie nastrojony Jerzy Hajduk, który czytał się za kioskiem „Ruchu” naprzeciwko domu Cesi, z najwyższym zaskoczeniem ujrzał przedmiot swych uniesień pędzący przez jezdnię w filcowych bamboszkach, czerwonej sukni narzuconej na pizamę i z jedną pończochą powiewającą z nogawki.

### 3

Profesor Dmuchawiec mieszkał przy ulicy Roosevelta. Obudził się wcześniej, bo pod pobliskim Mostem Teatralnym przejechał właśnie głośno ryczący pociąg elektryczny. Profesor wstał, odział się w szlafrok i wyjrzał przede wszystkim przez okno, chcąc się przekonać, jaką temperaturę wskazuje termometr. Stwierdziwszy, że słupek rtęci zjechał do minus dwóch, ziewnął, zawiązał pasek szlafroka i zapalił papierosa. Wtedy rzuciło mu się w oczy, że jest jakoś biało.

Dmuchawiec lubił śnieg. Ale raczej w telewizji. Podobały mu się zwłaszcza skoki narciarskie i w ogóle te konkurencje, w których stopień ryzyka był dosyć wysoki. Oglądając coś takiego pawił się w zadowoleniu, iż nigdy nie przyszło mu do głowy, by zostać sportowcem. Co do opadów śnieżnych – nie przepadał za tym zjawiskiem. W końcu zawsze ze śniegu na chodniku tworzy się niemiła bryja, zdolna przemoczyć najsolidniejsze obuwie.

Spojrzał z niesmakiem przez okno. Niby ładnie i biało. Ale cóż z tego. Przeczucie rychłego kresu skaziło wszelki wdzięk tego pejzażu. Za pół godziny z niebiańskiego puchu będzie brudna zupa.

O siódmej piątą, jak co dzień, Dmuchawiec wyszedł do szkoły. Zgodnie z jego przewidywaniami śnieg już rozmiękł. Tramwaje przejeżdżały z gwizdem i szczękiem, ludzie tłoczyli się na przystankach. Dmuchawiec wzdygnął się i poczłapał w stronę ulicy Mickiewicza.

Pierwsza lekcja dziś w klasie IIIa. Zadziornie dzieciaki. I znów trzeba się będzie denerwować: klasowi opozycjoniści z pewnością będą na nim wyładowywać swe rozgoryczenie i winić go za wszystkie błędy tego świata. Czy oni naprawdę przypuszczają, że jemu ten świat się podoba? Ale z nimi to już tak zawsze: jak im człowiek pozwoli na szczere wypowiedzi, to go zamęczą. Dmuchawiec westchnął, ale było to westchnienie człowieka zadowolonego: w gruncie rzeczy bardzo lubił ten rodzaj zamęczenia, a do klasy IIIa miał prawdziwą słabość. Z pewną melancholią pomyślał, że jego własna klasa, Ib, nie zamęcza go wcale ani pytaniami, ani oskarżeniami, ani żądaniem natychmiastowej odpowiedzi na milion złośliwych i podstępnych pytań. Klasa Ib składa się z wystraszonych baranków, które patrzą nauczycielowi w oczy i zgadują każde jego życzenie. O żadnym sprzeciwie nie ma mowy.

Dmuchawiec zaciągnął się po raz ostatni, wyrzucił niedopałek i przeszedł przez skrzyżowanie. Ulicą Mickiewicza ciągnęły sznury samochodów, utykających co chwila w zatorach. Powietrze pachniało spalinami i dymem. Nauczyciel brnął niechętnie przez topniejący śnieg

